

Okrucieństwo

20 października 2018

„Okrucieństwo polega na umyślnem i rozmyślnem sprawianiu cierpienia istocie żywej, czującej. Okrucieństwo jest dla okrutnika rozkoszą – mówi Rene Guyon – najobrzydliwszą, jaka się da wyobrazić, a to dlatego, że rozkosz ta jest w istocie swej podłością; pastwić się bowiem możemy tylko nad istotą słabszą, bezbronną – lew w klatce na łasce jest u dziecka. Nie dość tego, w okrucieństwie mamy najbardziej odrażającą formę podłości. Można tłumaczyć czyn podły, spełniony ze strachu, albo dla interesu, ale podłość dla rozkoszy pastwienia się nad tym, kto się bronić nie jest w stanie, nie może nie budzić pogardy najgłębszej w każdym, kto ma w sobie choćby podobieństwo jakiegoś tego, co się sumieniem nazywa”[1] – pisał rektor Uniwersytetu Wileńskiego Marian Zdziechowski, w broszurze wydanej jeszcze przed wybuchem ogólnoswiatowej erupcji okrucieństwa, nazywanej II wojną światową. Czytamy w niej dalej:

„Wśród występków i zwyrodnień pierwsze miejsce należy się okrucieństwu. Gorszym jest okrutnik od samoluba, marnotrawcy, pijaka, rozpustnika. Samolub wielkie może tworzyć dzieła, wyłącznie samolubstwem się kierując, z rozrzutności marnotrawcy mogą inni korzystać, pijak i rozpustnik szkodzą przede wszystkim sobie samym. Dla okrucieństwa niema i być nie może okoliczności łagodzących; okrucieństwo można tylko przeklinać. (...) Człowiek dumnie się mieni panem stworzenia, a pod względem moralnym, w uczuciach swoich i instynktach, o ileż niżej stoi od zwierzęcia! Zwierz drapieżnym bywa i krwiożerczym, ale z potrzeby; zdobycz swoją dusi i pożera, rozkoszy w przedłużaniu jej męczarni nie szuka, nie pastwi się nad nią – z wyjątkiem chyba kota, ale któż powie, że kot uświadamia sobie równie żywo, jak człowiek, cierpienia istoty, którą ma w pazurach swoich”.

Okrucieństwo jest cechą różniącą człowieka od zwierząt; z tym

poglądem, choć bolesnym dla naszego wyobrażenia o sobie, musimy się pogodzić. Nie da się podważyć także tezy o uniwersalności zjawiska; znamy z opisów tortury chińskie, okrutne formy mordów rytualnych dokonywanych przez amerykańskich Azteków i przez hinduistycznych wyznawców bogini Kali, okrutnymi były tortury katolickiej inkwizycji i zbrodnie luterkańskich szwedzkich żołdaków. Człowiek bywał okrutny mimo różnic etnograficznych, religijnych, światopoglądowych, rasowych. Można jedynie dowodzić, że religie i narzucone normy prawne krępowały naturalny instynkt okrucieństwa, próbowały go cywilizować, określać granice. W czasach wojen i rewolucji, gdy owe normy religijne i prawne przestawały funkcjonować, instynkt okrucieństwa wybuchał z wielokrotnioną siłą.

W ślad za Zdziechowskim poznajmy incydentalne zdarzenie z czasów hiszpańskiej inkwizycji: proces Elwiry del Campo w Toledo w r. 1568. „Doniesiono na nią, że nie jada wieprzowiny i że zwykła bieliznę zmieniać w sobotę: wyraźna wskazówka, że jest ukrytą żydówką, a tych żydów ukrytych t. zw. Marranów, wyznających religję mojżeszową, pomimo że przodkowie ich pod grozą prześladowań przeszli formalnie na katolicyzm, było wówczas w Hiszpanji bardzo wielu. Stawiono ją przed sądem, rozebrano, rozpoczęto indagację. Pierwszym instynktem katowanej ofiary jest zaprzeczenie. Ale to nie pomaga, a ból staje się coraz dotkliwszym; wśród spazmów bólu oskarżona krzyczy, że przyznaje się do winy, że wszystko wyzna. Torturowanie ustaje. Ale co ma wyznać, kiedy nie wie dokładnie, o co ją oskarżono. „Wszystko jest prawdą – woła, – co powiedzieli donosiciele”. Inkwizytorowi to nie wystarcza. Żądają szczegółów; jakich? Coś zasłyszała o zbrodni niejedzenia wieprzowiny. „Nie jadam, bo mi szkodzi”. Nie posuwa to sprawy naprzód; zeznanie musi być dokładniejsze. Tortura się wznowia. Podniesiono ją do góry, wykręcając ramiona; ramiona wywichnięto. Oszalała z bólu krzyczy, błaga, by powiedziano jej, co ma zeznać, na wszystko z góry się zgadza. Daremnie; ojcowie są nieubłagani. Musi wszystkie szczegóły zbrodni opowiedzieć: „Nie wiem, nie pamiętam jakie

to są szczegóły, a do wszystkiego się przyznaję; od świadków wiecie całą prawdę o mnie. Po co dręczycie? I tak dalej wkoło, ciągle te same bezmyślne pytania i nieprzytomne odpowiedzi, raczej krzyki i jęki. Coraz nowe i boleśniejsze tortury”.

Już w tamtym okresie zdawano sobie sprawę z irracjonalności stosowania tortur. Ludzie pod wpływem bólu fizycznego gotowi są uczynić wszystko co oczekuje kat. Nie oznacza to jednak uproszczenia drogi w poszukiwaniu prawdy. Torturowany mówi to, co oczekuje kat, może oskarżyć sam siebie i swoich najbliższych o najgorsze zbrodnie, nawet o takie przez nikogo nie popełnione. Czasem dopuszczamy możliwość stosowania tortur usprawiedliwiając je „wyższym celem”. Terrorystę torturami zmusimy, by wydał nam plan zamachu; kidnapera, gdzie ukrył porwane dziecko; wroga na wojnie, by ujawnił plany agresora. Nie zadajemy pytania, w ilu wypadkach tortury przyniosły rzeczywistą korzyść. Może częściej zamiast wartościowych informacji uzyskiwano od podejrzanego o terrorysty wymyślony, dla uniknięcia bólu, opis planu zamachu. Biedna kobieta z Toledo mogła nie wiedzieć nic o Marranach, mogła nie znać zwyczajów żydowskich; wyjąc z bólu błagała, by kaci podpowiedzieli jej, do czego, konkretnie ma się przyznać. Ilu podobnych torturowanych, błagających kata o podpowiedź, znaleźć można współcześnie w obozach filtracyjnych w Czeczeni, kazamatach w Afganistanie, katowniach w Syrii. Tak w średniowieczu jak i dziś rozum (świadomość bezskuteczności tortur) ustępuje przed instynktem. Nie wiemy, czy metody stosowane w więzieniu Abu Ghurajd w przyniosły jakąkolwiek korzyść dla skuteczniejszej walki z terroryzmem; może były tylko akceptacją erupcji okrucieństwa wyzwolonego u amerykańskich żołnierzy pod wpływem wojny. Z uczuciem obrzydzenia do gatunku ludzkiego można czytać opisy rozmaitych tortur stosowanych na świecie w ostatnim dziesięcioleciu; przebrnąwszy tą ponurą lekturę nie znajdziemy dla nich usprawiedliwienia „wyższym celem”.

Historia tej biednej kobiety z Toledo jest dla nas cennym

przykładem nie tylko z powodu tortur. Jaki był powód jej uwięzienia? Czuje oko sąsiedzkie zajrzało do garnków i do alki, odkryło, że postępuje w sposób nietypowy dla lokalnej społeczności: nie jada wieprzowiny i zmienia co tydzień bieliznę. Kodeks karny, ani inne obowiązujące przepisy prawne, nie regulowały jadłospisów ani harmonogramu zmiany koszul; kobieta nie naruszyła prawa, nie popełniła ani przestępstwa ani wykroczenia. „Zbrodnią” była inność. To tak, jakby współczesnemu politykowi wyrażającemu niechęć do „cyklistów i wegetarian” pozwolić swoje uczucia wyrazić przemocą. W tym jednak wypadku tyranem nie jest jakiś zwariowany Neron, to sąsiedzka wspólnota przejmuje na siebie przywilej bycia oskarżycielem i sędzią jednocześnie.

Nawet, gdyby we Francji nie powstała teoria o „dobrych dzikusach”, to i tak w większości społeczeństw dominowałoby przekonanie o „niewinnym”, „dobrym i sprawiedliwym z natury” ludzie i wrednych elitach, złym prawie, „niehumanitarnych” normach religijnych. Mówimy o despotach, o inkwizycji, o klerze dręczącym czarownicę; odrzucając obrazy udziału w tym prostego ludu. A przecież w erupcjach zbiorowego okrucieństwa to zachowanie ludzi jest czynnikiem najbardziej przerażającym. Lud zdobywszy Bastylię nie ograniczał się do zabicia strażników, grał także w piłkę głową komendanta; znane są opisy trawienia publicznego morderców, kończące się rozszarpywaniem straconego przez „kibicujące” kaźni kobiety. Istniała forma Holocaustu „higieniczna” w postaci komór gazowych i „ludowa”: palenie w stodołach, rozbijanie głów niemowląt o ściany, rozpruwanie nożem brzuchów ciężarnych kobiet.

Państwa, przyjmijmy teorię Gumplowicza, powstawały mocą podboju; władze ujarzmiały podbitych, nakładały podatki i nadawały przepisy prawne, dbając by kasa się zgadzała, a lud się nie buntował i nie powybił wzajemnie. Władzy specjalnie nie interesowało w co wierzone na wsi, kto z kim sypiał i co jadł; ważne, że był spokój i haracz wpływał regularnie.

Utrzymanie porządku w tych małych wspólnotach lokalnych, w tym także porządku moralnego, było zadaniem samorządu.

Prawo stanowione, niezależnie czy był to Saxon, Carolina czy nowocześniejsze kodeksy, było dla sądu wspólnoty jedynie wskazówką. Trudno by było inaczej, sędziowie bywali analfabetami. Liczył się zwyczaj, wójt był „ojcem”, który według swojego uznania karał, by wychowywać „swoje dzieci”. Opisuje to Zofia Daszyńska-Golińska w monografii o wsi mojej matki: Uściu Solnym.[2]

„Zwykłe kary, na jakie sąd uściecki skazywał, były trojakiego rodzaju. Przede wszystkim kara więzienna. Z opisu ratusza wiemy, iż więzień było dwa: górne lżejsze, które służyło najczęściej jako więzienie śledcze, rzadko zaś jako kara, oraz dolne, prawdopodobnie w lochu, w którym, jak powiada jeden z wyroków, można być „zgnojonym”. Bardzo charakterystycznym jest, że przebywanie w więzieniu rzadko kiedy stanowi prawdziwą karę. Najczęściej zamykają przestępcę „za kłódkę” dopóki nie wypłaci właściwej kary. Karę stanowią opłaty w pieniądzach i wosku, niekiedy zaś, gdy chodziło o elementy mniej w mieście poważane np. o parobków, albo też gdy przestępstwo nosiło charakter wykroczenia przeciw moralności, skazywano na różgi. Różgi spadały na winowajcę lub winowajczynię „pod pręgierzem”, w „kłodzie”, albo wprost w więzieniu po 25, 50, 60, a nawet 100, ale zwykle nie od razu, tylko częściami wymierzanych. W ogóle plagi stosowane są tylko wobec osób niższych”.

Przeważała racjonalność, kto mógł i miał ten mógł wykupić się od kary, płacąc grzywnę i stawiając wódkę wójtowi. Gdy nie... Loch, był jamą w ziemi wykopaną pod ratuszem; tam w wilgotnym błocie, we własnych i cudzych odchodach, gryziony przez szczury i inne insekty, pojony brudną wodą, karmiony pomyjami, delikwent uczył się porządku. Kobiety częściej lądowały pod pręgierzem, obdarte z ubrania i wstydu, stały obrzucane przez dzieciaki grudami ziemi, odchodami, kamieniami. Chłostę wymierzano „częściami”, mało kto wytrzymałby na raz 50 uderzeń

bykowca; każde przecinało skórę, odrywało mięśnie od ścięgna...

„Parę miesięcy wlece się proces sądu uścieckiego przeciw parobkom, służącym u różnych mistrzów, którzy pili i tańcowali we wtorek zapustny, gdy już dzwoniono na pacierze. Opinię publiczną oburza fakt, że parobcy podochoceni odpędzają burmistrza, który, przywołując ich do porządku, kazał muzyce zamilknąć. Sąd skazuje parobków na 20–60 plag, a urząd uznając, że kara jest jeszcze za niską, postanawia, iż parobek, któryby się porwał z czynną zniewagą na burmistrza ma mieć odciętą rękę (...). Czeladnik Byczkowicz skazany na więzienie dolne, z którego uwolniony zostanie dopiero po odcierpieniu 25 plag i to wykluczony od wszelkiej w mieście roboty. Powód kary obu mężczyzn stanowi, iż czeladnik uwiódł majstrową, a cudzej żony całować ... nie wolno, chyba za nogi, jako majstrową”, majster zaś tolerował go dalej u siebie, zamiast oddalić? (...) W 1750 r. Wojciechowa Ratayka zachodzi w ciążę przed ślubem przez parobka, służącego u jej matki. Całą katastrofę ukrywa, a dziecko każe pogrzebać. Wynika z tego sprawa: sąd zbiera się dwukrotnie, radzi się Saxona, wzywa Boga na pomoc i nie umie rozstrzygnąć, czy dziecko zostało zabite, czy też urodziło się nieżywe. Ostatnia możliwość jest całkiem prawdopodobną „bo była młoda i płocha, tańcowała po weselach, mogła sobie tedy zaszkodzić”. Pomimo to Ratayka skazaną zostaje na śmierć pod mieczem katowskim i dopiero wstawiennictwo księży uścieckich zamienia tę karę na liczne dary dla kościoła, oraz pobożne pielgrzymki obojga małżonków, gdyż żony mąż nie opuszcza. (...) 1 sierpnia 1763 r. sąd roztrząsa sprawę „o grzech nieczystości”, popełniony przez służącego Kaźmierza Strychańskiego, Rozalię Kucównę i Franciszkę Pyciakównę. Mężczyzna za uwiedzenie dwóch kobiet skazany zostaje na dwukrotne odebranie 50 i 60 plag pod pręgierzem i małżeństwo z jedną z dziewcząt. Kucównę, która miała dwóch kochanków, skazuje sąd na tę samą karę. Pyciakówna skazana zostaje na 60 plag, które ma otrzymać po urodzeniu dziecka. (...)” Wyrokiem wydanym 17 czerwca 1763 r. skazano na spalenie na stosie Błażeja Kaczkowskiego oskarżonego o

zoofilię. „Taż klacz także, z którą to tenże bezecny uczynek był, ażeby się jakie monstrum z niej nie pokazało i tej nie przepuszczając ma być także spalona na osobliwym stosie drew dla dalszych i większych bezbożności, ażeby się wszelki lud na to zapatrzył i chronił się takowego uczynku i obrazy wielkiego majestatu boskiego”.

Oczywiście, także do zagubionego w błotach, przy zbiegu Raby i Wisły, Uścia musiał dotrzeć zwyczaj polowania na czarownice. Tu jednak powinniśmy poznać kontekst lokalny. Utrzymywanie porządku moralnego liczyć się musiało z naturą ludzi. Picie i bójki to oczywiste rozładowanie nadmiaru energii; byle nie przekraczać granic. Seks, tak i owszem, byle „wredna suka mi chłopa nie podebrała”. Czary i czarownice były codziennością wsi; kto jak nie „babka wiedząca” odgoni chorobę, pomoże przy położu, zapewni dobrego męża i cielną krowę. Magia była częścią życia, zatem dogmatyczne polowanie na czarownice musiało spotkać się z oporem wsi. Skrupulatni Austriacy doliczyli się, po przyłączeniu Małopolski do swojego imperium, 467 osób parających się czarami. Ta tolerancja miała jednak swoje granice. Nawet w końcu XIX w. dochodziło na wsiach galicyjskich do samosądów, do okrutnego znęcania się na ludźmi podejrzewanymi, że czarami szkodzą.

W 1760 r. przed uściowym sądem toczył się proces Agnieszki Studzyny. Oskarżono ją o sporządzanie miłosnej mikstury z imbiru i cynamonu na zamówienie kobiet, które chciały w sercach swych mężów na nowo rozpalić uczucia. Do winy przyznała się pod wpływem tortur. Ponieważ Studzyna cieszyła się złą sławą, jako „złodziejka mężów”, spalona została na stosie. W tym samym czasie o podobny czyn oskarżono Apolonię Kosturkową; za nią wstawił się mąż i troje zacnych gospodarzy, zarzuty oddalono. Uście więc nie wyglądało najgorzej na tle innych miasteczek. W Wiśniczu w 1688 roku oskarżona Jadwiga Marcowa pod wpływem tortur, „powołała”, czyli oskarżyła o współudział w czarach 15 innych kobiet, w tym m.in. Jadwigę Talarzynę-Michałkową. Według zeznań oskarżonej, wszystkie

razem zbierały zioła, spotykały się w czwartki, tańczyły, smarowały maściami i wspólnie latały na sabaty. „Powołana” przez Marcową Jadwigę Talarzyną w trakcie swojego procesu, na mękach, oskarżyła o współudział w czarach kolejnych 6 kobiet, w tym Reginę Wojciechowską z Kłaja. Ta z kolei „powołała” 3 kolejne domniemane czarownice.[3]

Procesy o czary nie były jakimś specjalnym wyjątkiem, lecz elementem zbiorowego okrucieństwa mającego na celu utrzymanie ładu i porządku moralnego. Może to jednak brzmi paradoksalnie, ale tak jak odgórnie, despotycznie, narzucany porządek prawny i religijny, tak owe zwyczajowe, zbiorowe „samopilnowanie”, chroniło przed czymś gorszym: przed niekontrolowaną erupcją okrucieństwa. Takowa widoczna była nie tylko w czasie wydarzeń rewolucyjnych, rabacji 1846 r, „pożogi” 1918-19 r., „pogromów” lat 90-tych XIX w., czy „zbrodni wołyńskich” 1943 r. Przeróżne budzą opisy samosądów dokonywanych przez chłopów w czasach I wojny światowej; złapany na kradzieży złodziej bywał kamieniowany, wbijany na pał, rzucony świniom na pożarcie.

Pamiętajmy jednak, że Uście czy Galicja nie są szczególnym wyróżnikiem. Okrucieństwo jednostki i okrucieństwo tłumu na całym świecie wygląda podobnie. Można się jedynie samooszukiwać, twierdzić, że to co zdarzyło się w Ruandzie, nie zdarzy się u nas; to co w Syrii, absolutnie nie u nas, to co w Srebrnicy, także nie... Czyżby ? A może nasza cywilizacja to tylko cienka pozłotka, kiedy runą mury rygorów prawnych, norm etycznych i religijnych, „wyzwolony” człowiek okazać może całą, przerażającą krasę swojego „nadbydłectwa”...

Autorstwo: Jarosław Kapsa

Źródło: FundacjaWiP.wordpress.com

Przypisy

[1] Zdziechowski M. „O okrucieństwie” Kraków 1928 r

[2] Daszyńska-Golińska Zofia. „Uście Solne” Kraków 1906 r.

[3] Magdalena i Piotr Roszowscy „Nad Uszwicą i Leksandrówką. Na kulturowych ścieżkach wiśnicko-lipnickiego parku krajobrazowego”. Tarnów 2016 r. Na podstawie akt sądu w Wiśniczu.